



DLACZEGO CHCIELIŚMY ZMIENIAĆ ŚWIAT? HISTORIE TWÓRCÓW SZKÓŁ Z LAT 1989-1995.

Rozmowa z Marią Jaworską „Madziuką”, wieloletnią nauczycielką biologii na „Bednarskiej”, pomysłodawczynią wyjazdów przyrodniczych do lasu.

Dnia 28 lipca 2025r. - w ramach projektu dokumentacyjno-naukowego realizowanego przez Stowarzyszenie Dobra Edukacja przy wsparciu Fundacji PZU - rozmawiają Maria Kotowska (dyrektorka Biura Zarządu TP I SLO) oraz Bartłomiej Pielak (wicedyrektor „Bednarskiej”).

BP: Bardzo się cieszę, że spotkaliśmy się i że będziemy mogli porozmawiać o historii „Bednarskiej”. Jesteś dla nas skarbnicą wiedzy...

M: Bez przesady.

MK: Arsenalem!

M: Arsenalem. Jest to bardzo, bardzo dla mnie miłe. Naprawdę. Szczególnie w tym okresie mojego życia.

BP: Czy mogłabyś opowiedzieć, jak w ogóle znalazłaś się w orbicie o nazwie „Bednarska”?

M: Bardzo chętnie. Powitałam was z zeszytem mojego syna. Mój syn był bardzo dyslektyczny i to on sprawił, że miałam już po dziurki w nosie szkoły socjalistycznej. Co więcej, moje dzieci były prześladowane - tak, mogę tak powiedzieć - w związku z tym, że należałam trochę do opozycji, trochę byłam w środowiskach harcerskich. I właśnie wtedy dwie osoby zaproponowały mi tę całą wspaniałą sprawę o nazwie „Bednarska”. Była to Marzena Okońska - i tu chcę bardzo mocno podkreślić - bo była moją zastępową w świeżo odnowionym harcerstwie kresowym po 56 r. Niezwykła osoba. A drugim człowiekiem, który mnie wciągnął w to przedsięwzięcie, był kolega z Żoliborza, także z opozycji - Andrzej Wrede. Bardzo chciałabym o nich opowiedzieć, ponieważ zostali niedocenieni - przynajmniej ja tak twierdzę.

Dzięki nim trafiłam do tego gremium - przez cały rok przed transformacją chodziłam na seminaria na orientalistyce u profesora Byrskiego. No i to były niezwykle ciekawe zajęcia. Chodziliśmy bardzo regularnie. Z tego co pamiętam, często się tam spierali, kotłowali - tam było takie grupy. Krysia Starczewska oczywiście była szefową, z czasem to się wszystko zmieniało, ale ona nadawała ton. Była grupa humanistyczna - język polski, historia, chyba geografia - choć ta ostatnia może już należała do bloku przyrodniczego, w którym ja byłam. Była też grupa zajmująca się językami obcymi oraz wychowaniem fizycznym. Najważniejsza jednak była grupa wspólna, która miała ustalić zasady wychowawcze.

I to właśnie ona stała się punktem zapalnym... Aha, nie wspomniałam, kto jeszcze tam był. Przede wszystkim - Antoni Hoffman. To był niezwykle człowiek. Uważam, że był geniuszem. Myślałam nawet, że szkoła będzie nosić jego imię. Zmarł niestety bardzo młodo, bodajże w wieku 38 lat. To on mnie utwierdził w przekonaniu, że powinnam tu być, tu uczestniczyć... Przyjechał ze stypendium Humboldta i był wręcz nafaszerowany socjobiologią, czyli taką teorią związaną z ewolucją,

którą zresztą wprowadził do programu. Była też jego żona, Nina Hoffman, która przez jakiś czas pełniła funkcję sekretarki szkoły, mimo że miała doktorat z filologii polskiej. Później znalazła pracę bardziej odpowiadającą swoim kwalifikacjom. Był również Tytus Izdebski - z nim mam też dużo wspomnień... I zaczęła się polemika, głównie pomiędzy Marzeną Okońską a Krysią Starczewską. No więc spotykaliśmy się w swoich grupach, ale te narady na temat charakteru szkoły były wspólne. Jeździliśmy nawet pod Warszawę na weekendy – dochodziło do ostrych sporów.

Krysia bardzo promowała ideę demokracji - i ta idea przetrwała... później odeszłam z grupy, z grupy tych, którzy mnie wprowadzali. W pewnym sensie zdradziłam Marzenę i Wredego, bo oni się nie dogadali z Krysią, szczególnie właśnie w tej kwestii demokracji. Marzena uważała, że szkoła nie może być demokratyczna - że nie można zrównać stanu uczniowskiego ze stanem nauczycielskim. Poza tym druga sprawa, zresztą bardzo drażliwa - to była sprawa narkotyków. Krysia - podobnie jak ja - chciała w pewnym sensie tak głaskać narkomanów po głowie, załatwiać im różne rzeczy, żeby poczuli się tak pewnie... No więc w tej kwestii drażliwej ta moja zastępowa, Marzena Okońska, ona pracowała w tzw. SOS-ie, ale najpierw w DWLocie, czyli szkole przy Dywizjonie Lotniczym na Bielanach, gdzie nie mogła znieść panującej tam atmosfery i też tego, co musiała tam robić. A drugie, to uczyła też właśnie w SOS-ie, gdzie było wielu uzależnionych ludzi. Bo ona miała taki charakter terapeutyczny i uważała, że narkoman sam musi dojść do tego, że coś z nim nie tak i sam musi chcieć się zmienić. Głaskanie po głowie, według niej, mu ułatwiało różne rzeczy i prowadziło do odwrotnych efektów. Tak więc te dwie kwestie - demokracja i narkotyki - były głównymi punktami zapalnymi.

No i tak i zaczęła się szkoła, która - jak pewnie wicie, nie miała wtedy ani pozwolenia, ani lokalu. Była szkołą dla odważnych i zdesperowanych rodziców. Na przykład Antek nie mógł przeboleć, że w programie trzeba było uczyć się na pamięć odnoży raka i to go po prostu przerosło. On był takim motorem bloku przyrodniczego i miał ideę nauczania interdyscyplinarnego. Miałam z nim wspólne lekcje - zaczynaliśmy od szerokiej podstawy, a nie od pierwotniaków, tylko właśnie od tych spraw ogólnych - ewolucji, ochrony i dopiero potem wchodziliśmy w szczegóły - na systematykę itp. No, miał bardzo ciekawą koncepcję tej szkoły. Nawet już przymierzał się do napisania książki, może nawet miał już ją przygotowaną - tak przypuszczam - bo bardzo dużo o tym mówił.

Ostatecznie książkę - „Biologię XX wieku” napisał profesor Jerzy Manowski. Znałam go zresztą osobiście. „Biologia XX wieku” była częściowo oparta na założeniach Antka. Antek był bohaterem - przychodził do szkoły, ważył może 40 kilo, ale nie zarażał się, był niezmordowany, aktywny, pełen pasji. Uczniowie i uczennice go uwielbiali. Potrafił mówić o rzeczach trudnych w tak prosty sposób, że do dziś to pamiętam. Przedstawiał teorie, które zwykle spotykają się z oporem, a on mówił o nich w sposób naturalny, zrozumiały. Uczył biologii w dwóch klasach, a ja uczyłam w dwóch pozostałych. W jednej wychowawczynią była właśnie Marzena, w drugiej - chyba Piotruś Mężyński, też znana postać - chciałabym też o nim opowiedzieć. Krysia była wychowawcą Adary, a Cezara - o ile dobrze pamiętam - Tytus - tak mi się kojarzy... W każdym razie - wracając - absolutnie przystałam do koncepcji Krysi, jej osobowości, która mnie oczarowała. I tak zdradziłam tych moich, którzy mnie do tego środowiska wprowadzali i było mi z tym trochę nieswojo. Ale przyjaźń z nimi przetrwała. Założyli własną szkołę, która jeszcze chyba istnieje.

MK: Jest, jest. Imienia Marzeny Okońskiej.

M: No i mam bardzo ciepłe uczucia do Krysi, chociaż była osobą niezwykle kontrowersyjną...

BP: Czyli, z tego co mówisz - i to jest bardzo ciekawe - już na samym początku, w trakcie tego seminarium kwestia wychowania, a to w tamtym momencie przecież było bardzo ważne, bo kończył się PRL i nadchodziła wolna Polska, zderzyły się te koncepcje właśnie takiego wychowania wolnościowego, które - jak rozumiem - promowała Krysia jako koncept?

M: Bardzo promowała, bo ona była przecież bardzo głęboko zaangażowana w opozycję i traktowała to, że tak powiem, jako taką misję...

MK: Z taką leciutką skłonnością do anarchii...

M: To znasz ją od innej strony. Znaczący, tak mi się wydaje, że jednak czasami takie sygnały do mnie docierały. Znam osoby, które w kolejnych jakichś tam perypetiach też się różnym sprawom przeciwstawiały. Poza tym takim symptomem tego, że z Krysią nie było łatwo, było to, że wicedyrektorzy nie wytrzymywali. A w ogóle na początku dyrektorem był Andrzej Wrede. Pamiętam, że byłam wtedy bardzo dumna, że on tę funkcję pełnił, bo to był człowiek naprawdę uczciwy i wspaniały. On wydawał pismo - reaktywowane - „Bunt Młodych”. Był bardzo aktywny, zresztą nadal uczy. Przyjaźnię się z nim i jego żoną – mamy bardzo bliski kontakt. Niestety, teraz - jak większość z naszego pokolenia – mają problemy ze zdrowiem. No, tak - oboje troszkę podupadli. Siedzą na wsi.

I drugi nurt - Dorota Fiett, która przyszła w bardzo specyficznych okolicznościach, o których mogę jeszcze kiedyś opowiedzieć. Ale zacznę od tego, że Dorota była dla mnie bardzo ważna i do dziś się przyjaźnimy. Ona perfekcyjnie знаła te wszystkie mechanizmy biochemiczne. Dopiero co skończyła studia i była naprawdę świetnie przygotowana. Poza tym miała niezwykle talent dydaktyczny i zaciąg harcerski. Bardzo dużo nas łączyło również z Januszem, który był też wicedyrektorem...

MK: Krótko...

M: Tak, przez krótki czas... A Dorota przygotowywała klasy perfekcyjnie do studiów – głównie na medycynę, zootechnikę. Odnosiła ogromne sukcesy. A ja od początku - i tu nie chciałabym się za bardzo chwalić, ale to, co robiłam chyba w życiu najlepiej, to wywoziłam młodzież do lasu. Bez próżności to mówię. Pracowałam w tym Instytucie Ekologii PAN w Dziekanowie Leśnym i miałam tam swój warsztat. Chciałam być od dzików, ale zgubiłam się kiedyś w lesie – no, moją idolką była Jane Goodall - od szympanсів... Wracając do wyjazdów do lasu – pierwszy wyjazd był nad Zelwą na Suwalszczyznę. Wtedy był Janusz i Dorota też... O, właśnie! Tak, i Dorota Żuchowicz była bardzo ważna przy zakładaniu szkoły.

MK: I uczy nadal w Realnej.

M: Myśmy z Dorotą miały wspólny blok. Ona kopała doły i pokazywała profile, a ja z tych profili wyciągałam zwierzątka, to znaczy nie ja, tylko moi uczniowie. Jeździliśmy małymi grupami. W ogóle ideą szkoły było to, że klasy nie powinny być większe niż 15 osób. To założenie było ważne – niestety, z czasem je łamano. Wiadomo - to nie było ekonomiczne. Prawda? I wiedzieliśmy, że trzeba - znaczy głównie ja wiedziałam, wywieźć uczniów, uczennice jak najdalej z miasta, nie dać im warunków takich z prysznicem, tylko mycie w wodzie ze studni, rąbanie drewna, gotowanie obiadu. Dzieliłam ich na takie zespoły 4-5 osobowe. Dorota i wychowawcy, wychowawczynie zresztą bardzo w tym pomagali. Wysyłaliśmy ich do lasu z przyrządami do zbierania okazów. Tematy były różne – różnorodność bezkręgowców, roślin wyższych...

Ktoś kiedyś zapytał: „Madziuko, czy to takie wysokości, czy takie?”. Innym razem uczeń krzyczy: „Prawdziwa kupa lisa, popatrz!”. A jedna dziewczynka oświadczyła: „Madziuko, nienawidziłam tych robaków, a teraz je kocham!” - i pocałowała żuczka. Także miałam satysfakcję! Oni po prostu rozbiegali się po tym lesie jak żrebaki. Rudolf Steiner - chyba on – głosił taką koncepcję, że tzw. okres wrażliwości przypada na około 14. rok życia. Jeśli ktoś w tym wieku zobaczy, na czym polega las, czym jest ten las, to myślę, że już nigdy nie będzie chciał wycinać Puszczy Białowieskiej. Tak myślałam, że może Krysią pojedzie ze mną do Machnacza i będziemy hodować osła. Tylko Krysią nigdy nie przyjechała na żadne moje przyrodnicze wyprawy - zadania.

MK: Nie była? Nigdy?

M: Nigdy.

BP: A Lebieżin to też jest z twoich czasów czy już późniejszych?

M: To jest cała historia.

MK: Najpierw były Budy, Machnacz i Solec...

M: Najpierw była gajówka, też w Puszczy Solskiej. Solec. Drugi rocznik tam pojechał.

A jeszcze wcześniej były namioty nad Zelwą. I tam Janusza nie było. Andrzej Wrede organizował to ze mną... Taka śmieszna dygresja - jedna dziewczynka kiedyś przyjechała i powiedziała: „Madziuko, nigdy nie byłam w takim lesie!”, a ja: „Jak to?”. A ona: „Byłam w Egipcie, Serbii, Chorwacji, na Wyspach Kanaryjskich...” Także to było potrzebne. To było tak radosne. Potem były referaty - jak już zdobyli te materiały. W stodole przeważnie ustawiało się mikroskopy. Rozdawałam im też czerpaki entomologiczne - nie na motyle, tylko takie do machania po łące. A jak się potem wytrzepało na prześcieradło, to było pełno pajaków. Mówiłam zawsze, że jeśli ktoś ma arachnofobię, niech się oddali. Niektórzy bohaterowie boją się myszy, niektórzy boją pajaków. To jest jakiś atawizm. Jeżeli chodzi o wążek gajówek... Pytałeś, tak?

BP: Ekologia versus przyroda.

M: Pojechaliśmy do nadleśniczego i on powiedział: „Niestety, Machnacz to już zajęty, ale mamy Lebieżyn - piękny, duży... A, nie, tam są już od dawna harcerze... Czy macie jakieś dane, znaczy jakieś pismo ze szkoły?” Nie mieliśmy. To on: „To proszę przyjechać jutro do nadleśnictwa i to załatwić formalnie. Może uda się z tym Machnaczem.” No i pojechałam sama, Janusz nie mógł. Idę już z tym panem nadleśniczym po schodach, a on mówi, że nienawidzi tych ekologów, że nie cierpi tych zielonych, tak po prostu. No, marudził strasznie. A mnie uważali za panią doktor z Warszawy, więc miałam pewien prestiż, choć ten tytuł nigdy mi się w życiu nie przydawał. Weszłam - siedział pan główny leśniczy z jakimś człowiekiem, który poinformował - że jest tu taka pani, co bardzo by chciała wynająć leśniczówkę w Machnacu i jak ma to załatwić. I wtedy zaczęłam mówić, jak to ja: „Nasi uczniowie i uczennice uważają, że nawet las trzeba czasami zrozumieć...” I... dał nam tę gajówkę.

I tak pojawił się Machnacz. Przepiękne miejsce! Byliście? Te jesionowe góry i to tuż przy samej stacyjce. I takie wygodne. Ale później już było za małe na duże obozy. I Jędrzek... bo Jędrzek to był też taki niezwykły... Owsiński. Zaangażował się od razu. On znał się dużo lepiej ode mnie na tych stworzonkach leśnych i te jego wykłady... Był niezwykły. Sama uczyłam się od niego. No i on właśnie twierdził, że Machnacz nie jest najlepszy, bo trzeba tam było zrobić remonty. A fundusze? Zaczęłam o nie zabiegać. Wtedy uwierzyłam w demokrację, słuchajcie - bo ja byłam apolityczna! Zaczął obradować Sejm. Trzeba było przegłosować, czy inwestujemy w wystrój tej sali fizycznej, czy wydzierżawiamy te gajówki z całą tą otoczką. No i wygrałam. Tzn. leśniczówki przeszły. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałam, że i uczniowie, i uczennice, i rodzice...

MK: Słuchać większości.

BP: Co pamiętasz i co myślisz o ocenianiu? Bo w polskiej szkole do dziś funkcjonuje system ocen w skali 1-6, a wcześniej w skali 2-5. No i to typowe pytanie, które się słyszy: „Co dostałaś?” Co myślałaś o ocenach wtedy, a co myślisz dzisiaj?

M: Marysiu, pamiętasz? Zawsze tak było. I to jak? Na noże! A potem trzeba było na cenzurce zostawić stopień cyfrowy. I to często budziło oburzenie rodziców: „Jak to? Taki był wspaniały, a ocenili go na trójkę!” I ja byłam zdania, że recenzje to jest dobre rozwiązanie. Tylko my trochę upraszczaliśmy - pisaliśmy oczywiście konkretne recenzje - co należy poprawić, czego nie umiem, ale i nie każdy miał czas. Jak np. geograf, który uczył wszystkie klasy, to było mu ciężko. Uważam, że to było niewątpliwie innowacyjne. Przy moich przygodach z synkami doceniłam, że ktoś ich potrafił w miarę obiektywnie ocenić. Chociaż potem...no, różnie z tym bywało. Ale ja nigdy nie przykładałam wagi do stopni, naprawdę. Denerwowało mnie zachowanie mam, które chciały, żeby synek nie miał czwórki, tylko piątkę. To jest niewłaściwe.

MK: Do dziś tak jest.

M: A jeszcze jedna dygresja. Szpan na to, że w szkole mówi się po imieniu. To było takie szokujące. Ja jestem Madziuka. Dziwne, prawda? Z harcerstwa mi tak zostało. Bo ja jestem Maria Małgorzata. Jak starsza pani mówi, że jest „Madzia”, to mam z tym kłopot. No i kiedyś dzwoni jakaś pani i pyta, czy jest pani Paciuga. W ogóle Janek na przykład chciał, żeby mówić do niego „panie profesorze”.

MK: Janek Wróbel?

M: Tak, tak. A mi było wszystko jedno, glans pomada, jak to mówią. Dopiero jak już taka byłam zupełnie starutka, to mówili do mnie na Startowej „pani Madziuko”. Ale wcześniej – po prostu po imieniu.

Redakcja: Joanna Kucharczyk

Opracowanie graficzne: Michał Bisiore